

CZŁOWIEK Z NOŻAMI

Jupp trzymał nóż za koniec ostrza i niedbale nim kołysał. Był to długi, cienki nóż do krajania chleba i na pierwszy rzut oka było widać, że jest bardzo ostry. Nagłym ruchem wyrzucił go w górę. Nóż wwiertł się w powietrze z cichym szmerem wirującego śmigła, a błyszczące ostrze zamigotało jak złota rybka w smudze ostatnich promieni słonecznych. Uderzył w sufit, stracił swój ruch obrotowy i nagłym, mocnym ciosem spadł wprost na głowę Juppa. Jupp błyskawicznie położył sobie na głowie drewniany klocek. Nóż wbił się z cichym chrzęstem w drzewo i tkwił w nim wahając się lekko. Wtedy Jupp zdjął klocek z głowy, wyciągnął nóż i z gniewnym wzruszeniem ramion rzucił go w drzwi. Nóż zadrzął z lekka, utkwivszy w desce, potem powoli osunął się na podłogę.

— Rzygać się chce — powiedział Jupp cicho. — Wyszędłem ze słusznego założenia, że kiedy widzę zapłacić za bilet, to najchętniej patrzy na sztuki, w których ryzykuje się zdrowie lub życie — zupełnie jak w rzymskim cyrku; chce przynajmniej wiedzieć, że krew mogłaby się polać. Rozumiesz?

Podniósł nóż z podłogi i z lekkim rozmachem rzucił go w górną listewkę ramy okiennej z taką siłą, że szyby zabrzęczały, jakby już, już miały wylecieć razem z krującym się kitem. Rzut ten — pewny i właściwy — przypomniał mi ponure godziny z przeszłości, kiedy posłuszny woli Juppa scyzoryk wędrował w górę i w dół po słupach podtrzymujących bunkier.

— Chcę zrobić wszystko, aby dostarczyć widom miłego dreszczyku — ciągnął Jupp. — Gotów byłbym obciąć sobie uszy, niestety nikt mi ich z powrotem nie przyprawi. A żyć bez uszu, to już lepiej było zostać w niewoli. Chodź no ze mną!

Otworzył drzwi i puścił mnie przodem; wyszliśmy na klatkę schodową. Resztki tapet pozostały już tylko tam, gdzie klej trzymał tak mocno, że nie można ich było oderwać, aby podpalić nimi w piecyku. Potem przeszliśmy przez zrujnowaną łazienkę i znaleźliśmy się na czymś w rodzaju tarasu o betonowej podłodze, której szczeliny porastał mech. Jupp wskazał ręką w górę.

— Oczywiście sztuka robi tym większe wrażenie, im wyżej leci nóż. Ale w górze musi być coś, o co mógłby uderzyć i odbić się, tak aby spaść z siłą na moją beużyteczną czaszkę. Spójrz! — pokazał mi sterczący w górę szkielet rozwalonego balkonu. — Tutaj trenowałem. Okragły rok. Patrz!

Wyrzucony w powietrze nóż wznosił się zadziwiająco pewnie i równomiernie; zdawało się, że wlatuje jak ptak, lekko i bez wysiłku. Odbił się o żelazny dźwigar, runął w dół z szybkością, od której dech zapierało, i wbił się mocno w drewniany klocek. Samo uderzenie musiało być trudne do zniesienia. Jupp nawet nie mrugnął powiekami. Nóż utkwił w drzewie na parę centymetrów.

— Cudownie, Jupp — wykrzyknąłem — wspaniała sztuka, to chyba przynajmniej wszystkie! Przecież to jest numer pierwszej klasy!

Jupp obojętnie wyciągnął nóż z klocka, chwycił go za trzonek i zamachnął się nim w powietrzu.

— Przyznają, owszem, płacą dwanaście marek za wieczór i pozwalają mi pobawić się trochę nożem między dwoma wielkimi numerami. Bo mój jest za skromny. Jeden człowiek, jeden nóż, jeden klocek. Rozumiesz? Powiniennem mieć półnągą kobietę i rzucić nożem tuż koło jej nosa. Wtedy wyliby z zachwyty. Ale znajdź mi taką kobietę!

Poszedł przodem i wróciliśmy do pokoju. Jupp ostrożnie położył na stole nóż, przy nim drewniany klocek i zaczął rozcierać sobie ręce. Ustaliśmy w milczeniu na skrzyńce koło piecyka. Wyciągnąłem z kieszeni kawałek chleba i spytałem:

— Zjesz?

— Chętnie, ale poczekaj, ugotuję kawę.

Potem pójdziesz ze mną i zobaczysz mój występ.

Dołożył drzewa do piecyka i ustawił na nim garnek.

— Prawdziwa rozpacz — powiedział. — Zdaje mi się, że wyglądam za poważnie. Może przypominam jeszcze trochę feldfebla, co?

— Bzdura, przecież nigdy nie byłeś feldfeblem. Czy uśmiechasz się, kiedy biją brawa?

— Oczywiście. I kłaniam się.

— Ja bym nie mógł. Nie mógłbym uśmiechać się na cmentarzu.

— To wielki błąd. Właśnie na cmentarzu trzeba się uśmiechać.

— Nie rozumiem.

— Bo przecież oni nie są martwi. Nikt nie jest martwy. Rozumiesz?

— Rozumiem, ale nie wierzę w to.

— To dlatego, że w tobie jest wciąż jeszcze coś z porucznika. U ciebie musi to dłużej trwać, jasne. Mój Boże, ja się cieszę, kiedy im sprawiam przyjemność. Są przygaszeni, a ja ich próbuję rozerwać i biorę za to pieniądze. Może choć jeden z nich po powrocie do domu będzie o mnie myślał. Może powie: „Ten facet z nożem, ten się, cholera, nie boi, a ja się, cholera, boję”. Bo oni wszyscy ciągle się boją. Wloką za sobą strach jak własny posępny cień; rad jestem, kiedy o nim zapo-

minają i choć trochę się pośmieją. Czy to nie powód, żeby się do nich uśmiechać?

W milczeniu przysłuchiwałem się, jak w garnku wrze woda. Jupp zaparzył kawę w brązowym blaszanym kubku; piliśmy z niego na zmianę i zagryzaliśmy moim chlebem. Na dworze zapadał zmierzch i jak łagodne, szarawe mleko napływał do pokoju.

— A co ty właściwie robisz?

— Nic... jakoś się przebijam przez życie.

— Ciężki zawód.

— Tak. Na ten kawałek chleba musiałem wybrać i oczyścić sto cegieł. Takie dorywcze zajęcie.

— Mm... Masz ochotę zobaczyć jeszcze jedną sztukę?

Skinąłem głową, więc podniósł się ze skrzynki, zapalił światło, podszedł do ściany i odsunął wiszącą na niej zasłonę. Na czerwono wyprowadzonym murze naszkicowane były z grubsza węglem zarysy ludzkiej postaci. Dziwne wybruszenie w miejscu, gdzie powinny znajdować się włosy, oznaczało zapewne kapelusz. Gdy się przyjrzałem uważniej, dostrzegłem, że figura narysowana była na zręcznie ukrytych drzwiach. Z ciekawością patrzałem, jak Jupp wyciąga spod swego nędznego legowiska ładną brązową walizkę i kładzie ją na stole. Zanim ją otworzył, położył przede mną cztery niedopałki papierosów.

— Skręć z nich dwa cienie — powiedział.

Prześladem się tak, aby go widzieć, a jednocześnie czuć łagodne ciepło promieniujące z piecyka. Ostrożnie rozkręcałem niedopałki podłożwszy papier, w który przedtem owinięty był chleb. Jupp otworzył tymczasem leżącą na jego kolanach walizkę i wyjął z niej dziwaczne zawiniątko. Był to podzielony na liczne kieszonki pokrowiec taki, w jakich nasze matki przechowywały wyprawne sztucce. Jupp zręcznie rozwiązał tasemki i w rozwiniętym na stole pokrowcu ukazał się tuzin noży z rogowymi trzonkami, zwanych w czasach, gdy nasze matki tańczyły walca, „sztucami myśliwskimi”.

Sprawiedliwie rozdzieliłem tytoń na dwie części i skręciłem dwa papierosy.

— Bierz — powiedziałem.

— Bierz — powiedział także Jupp. — Dzięki.

Potem pokazał mi cały pokrowiec.

— Tylko to ocalało z rzeczy rodziców. Wszystko spalone, zasypane, reszta rozkradziona. Kiedy brudny i obdarty wróciłem z niewoli, nie miałem nic. Aż kiedyś pewna dystygowana starsza pani, znajoma mojej matki, odszukała mnie i oddała mi tę ładną walizeczkę. Matka na parę dni przedtem, zanim zginęła od bomby, zostawiła u znajomych walizeczkę. I tylko to ocalało. Dziwne, prawda? Ale przecież my dobrze wiemy, że

ludzie owładnięci strachem przed zagładą usiłują ratować najdziwniejsze przedmioty. Nigdy nie potrzebniejsze. Stałem się więc posiadaczem zawartości walizeczki: brązowego blaszanego kubka, dwunastu noży, dwunastu widelcy, dwunastu łyżek i dużego noża do krajania chleba. Sprzedałem widelce i łyżki, żyłem za to przez rok i trenowałem rzucanie nożami. Trzynastoma nożami. Patrz...

Podalem mu skrecony papier, którym zapaliłem swojego papierosa. Jupp przyklepił sobie papierosa do dolnej wargi, zaczepił tasemkę o guzik na ramieniu kurtki i rozwinął pokrowiec, który okrył go jak dziwaczny strój wojenny. Potem z nieprawdopodobną szybkością wyjął z pokrowca noże i zanim zdążyłem się zorientować, co robi, rzucił kolejno wszystkie dwanaście noży w kierunku sylwetki ludzkiej na drzwiach, podobnej do owych straszliwych chwiejących się topoli dochodzących koniec wojny patrzyły na nas ze wszystkich rogów ulic i wszystkich słupów ogłoszeniowych jak zwiastuny zagłady. Dwa noże utkwiły w kapeluszu człowieka, po dwa w ramionach, po trzy wzdłuż zwisających rąk...

— Wspaniale! — zawolałem. — Wspaniale! To świetny numer z lekkim napięciem.

— Brakuje tylko mężczyzny, a jeszcze bardziej kobiety. — Jupp wyciągnął noże

z drzwi i schował je starannie do pokrowca. — Niestety nikogo nie znaję. Kobiety zasnęły się boją, a mężczyźni są zbyt drodzy. Zresztą nie dziwię się im, to przecież niebezpieczna sztuczka.

Znów rzucił błyskawicznie nożami, tak że czarna sylwetka człowieka została z genialną symetrią przedzielona na połowę. Trzynasty, duży noż utkwił jak śmiertelna strzała tam, gdzie powinno się znajdować serce.

Jupp raz jeszcze pociągnął papierosa i rzucił małe niedopałek za piec.

— Chodź — powiedział. — Zdaje mi się, że już czas. — Wystawił głowę za okno, mruknął coś na temat „przekłętego deszczu” i dodał: — Za parę minut ósma, o pół do dziewiątej jest mój występ.

Podczas gdy pakował skózaną walizeczkę, wychyliłem się przez okno. Zburzone wille zdawały się cicho kwilić wśród deszczu, a zza szpaleru chwiejących się topoli dochodził zgrzyt tramwaju. Nigdzie nie dostrzegłem zegara.

— Skąd wiesz, która godzina?

— Czuję ją. To część mojego treningu.

Spojrzałem na niego nie rozumiejąc. Jupp pomógł mi włożyć płaszcz, potem wciągnął na siebie wiatrówkę. Mam lekki niedowład ramienia, mogę poruszać ręką tylko w ograniczonym promieniu — tyle, ile wystarcza do czyszczenia cegieł. Nałożyliśmy czapki i wy-

szliśmy do ciemnej sieni. Rad byłem, gdy doszły mnie z wnętrza domu ludzkie głosy, śmiech, stłumiony szmer rozmów.

— Otóż — mówił Jupp, kiedy schodziliśmy na dół — starałem się wpaść na ślad pewnych praw kosmicznych. O, w ten sposób.

Postawił walizeczkę na podęście schodów i wyciągnął ramiona w bok, tak jak na starych obrazach przedstawiany bywa Ikar gotujący się do lotu. Na zwykłe tak trzeźwej twarzy Juppa malował się teraz chłód i rozmarzenie, na wpół opętanie, coś zimnego, magicznego, co przejmowało mnie lękiem.

— O, tak — mówił cicho. — Po prostu sięgam w atmosferę i czuję, jak ręce mi się coraz bardziej wydłużają, aż dosięgają przestrzeni, w której rządzą inne prawa, przebijają jakąś pokrywę, ponad którą panuje dziwne, czarowne napięcie, wyciągam po nie ręce, wyciągam... potem chwytam je, łapię ra wpół brutalnie, na wpół lubieżnie i zabieram! — Zamknął kurczowo dłonie i przycisnął ręce do boków. — Chodź — powiedział.

Miał znowu swój zwykły, trzeźwy wyraz twarzy. Poszedłem za nim ze ściśniętym sercem.

Na dworze padał cicho jednostajny, chłodny deszcz. Podnieśliśmy kornierze i skurczyliśmy się jak można najbardziej. W ulice napływał mglisty zmierzch, zabarwiony już niebieską ciemnością nocy. W piwnicach zburzonych

will błyskały słabe światła pod przytłaczającym je ciężarem ruin. Ulica przechodziła niedostrzegalnie w błotnistą polną drogę. Z lewa i z prawa w zgęstniałym już mroku zdawały się pływać w nędznych ogródkach ponure budy sklecone z desek, jak tchnące groźbą dżonki na płytkiej odnodze rzecznej. Potem przećliśmy tor tramwajowy i pogrążyliśmy się w ciasnych wąwozach przedmieścia, gdzie pośród usypisk gruzu i stert odpadków stało jeszcze kilka domów. Wreszcie wychynęliśmy na jakąś bardzo ożywioną ulicę. Kawałek drogi pozwoliliśmy się unosić płynącej cizbie ludzkiej, potem skręciliśmy w ciemną przecznice, w której jaskrawa reklama świetlna „Siedmiu Młynów” odbijała się w błyszczącym asfalcie.

Przedsiomek teatryku był pusty. Przedstawienie dawno się już zaczęło i spoza zniszczonej czerwonej kotary dochodził zgiełk zebrałej publiczności.

Jupp wskazał mi z uśmiechem umieszczoną w oszklonej gablotce fotografię, przedstawiającą go w stroju cowboya między dwiema siódko uśmiechniętymi, półnagimi tancerkami. „Człowiek z nożami!” — głosił napis.

— Chodź! — powiedział znowu Jupp i, zanim się obejrzałem, pociągnął mnie za sobą przez wąskie, ukryte wejście. Wspieliśmy się słabo oświetlonymi, krętymi schodkami, na których zapach potu i szminki zdradzał bliskość sceny.

Jupp szedł przede mną. Nagle na zakręcie schodów zatrzymał się, postawił walizczkę i chwycił mnie za ramiona.

— Masz odwagę? — spytał cicho.

Tak długo oczekiwałem tego pytania, że teraz zląkłem się tylko jego nagłości. Zapewne nie wyglądałem zbyt odważnie odpowiadając:

— Odwagę rozpaczy.

— Właśnie o nią chodzi — zawołał Jupp z wymuszonym uśmiechem. — A więc?

Milczałem. Nagle uderzyła w nas fala dziwnego śmiechu, płynąca z wąskiego przejścia jak nieujarzmiony potok, tak silna, że oparował mnie strach i mimo woli zatrzęsł mną zimny dreszcz.

— Boję się — powiedziałem cicho.

— Ja także. Nie ufasz mi?

— Owszem, naturalnie... ale... No, chodź już — rzekłem ochryple i pchnąłem go naprzód. — Mnie jest już wszystko jedno.

Wyszlismy na wąski korytarz. Po obu jego stronach znajdowały się kabinki oddzielone niskimi przepierzeniami z dykty. Wokół nas przemykały barwnie odziane postacie, a przez szparę między nędznymi kulisami dostrzegłem na scenie kłowna rozwierającego ogromną gębę. Znowu doszedł nas szalony śmiech widzów. Jupp pociągnął mnie za sobą i zamknął za nami drzwi. Rozejrzałem się. Kabin-ka była ciasna i niemal pusta. Na ścianie wi-

siało lustro, a na samotnie sterczącym gwoździu cowboyski strój Juppa. Na kulawym krześle leżały stare karty do gry. Jupp okazywał teraz nerwowy pośpiech; pomógł mi zdjąć mokry płaszcz, rzucił na krzesło strój cowboyski, na gwoździu zaś powiesił mój płaszcz i swoją wiatrówkę. Ponad przepierzeniem garderoby dostrzegłem pomalowaną na czerwono dorycką kolumnę i elektryczny zegar; było dwadzieścia pięć po ósmej.

— Pięć minut — mruczał Jupp przebieając się. — Zrobimy próbę?

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi i zawołał:

— Przygotować się!

Jupp zapiął kurtkę i włożył na głowę sombrero. Śmiejąc się nerwowo zawołałem:

— Chcesz skazanego na śmierć powiesić na próbę?

Jupp chwycił walizczkę i wyciągnął mnie z garderoby. Na korytarzu stał łysy człowieczek przyglądając się ostatnim sztuczkom kłowna. Jupp szepnął mu na ucho coś, czego nie zrozumiałem. Łysy człowiek obejrzał się przestraszony, spojrzał na mnie, potem na Juppa i energicznie potrząsnął głową. Jupp zaczął mu coś szepsem tłumaczyć.

Było mi wszystko jedno. Mogą mnie żywcem nadziać na rożen; miałem beznadziejne ramię, wypaliłem dziś jednego cienkiego papierosa, jutro czekało mnie trzy czwarte

bochenka chleba za oczyszczenie siedemdziesięciu pięciu cegieł. Ale jutro...

Zdawało się, że grzmot okłasków przewróci dekorację. Kłown szedł ku szparze w kulisach zataczając się, ze zmęczoną, ściągniętą twarzą. Zatrzymał się na parę sekund z ponurą miną, potem zawrócił na scenę i kłaniał się z miłym uśmiechem. Orkiestra grała tusz. Jupp wciąż jeszcze szeptał z łysym. Kłown trzy razy wychodził i trzy razy wracał na scenę, aby się kłaniać z uśmiechem. Potem orkiestra zaczęła grać marsza i Jupp z walizką w ręku dziarskim krokiem wszedł na scenę. Powitały go słabe okłaski. Zmęczonymi oczami patrzyłem, jak Jupp przytwierdza karty na wbitych zawczasu gwoździach i kolejno przebija je nożem, każdą dokładnie w środku. Tym razem okłaski były nieco głośniejsze, ale nie entuzjastyczne. Potem Jupp zaprodukował sztukę z wirującym w powietrzu dużym nożem i drewnianym klockiem; mimo całej obojętności czułem, że popis jest istotnie bładny. Z drugiego końca sceny przyglądało mu się kilka półnagich dziewcząt... Potem łysy człowiek chwycił mnie za ramię i wciągnął na scenę, gdzie pozdrowił Juppą uroczysto rozkładając ramiona i powiedział sztucznym tonem polijanta:

— Dobry wieczór, panie Borgalewski.

— Dobry wieczór, panie Erdmenges — odpowiedział Jupp równie uroczystym tonem.

— Przyprawiam panu koniokrada, skończonego rzeźmieszka, niech go pan nieco połaskocze swoimi nożami, zanim go powiesimy... tego łotrzyka...

Głos łysego człowieka wydawał mi się ogromnie śmieszny, płaski i sztuczny jak papierowe kwiaty i tania szminka. Rzuciłem wzrokiem na widownię i od tej chwili, wobec tego migającego, pożądliwego, tasiągłowego potwora, który w ciemnościach jakby gotował się do skoku, po prostu przestałem czuć.

Było mi całkowicie obojętne, że oślepiamnie jaskrawe światło reflektorów; w swoim wytartym ubraniu i w zniszczonych trzewiach musiałem rzeczywiście wyglądać na koniokrada.

— Proszę bardzo, niech mi go pan zostawi, panie Erdmenges, już ja sobie z tym drabem poradzę!

— Dobrze, proszę się nim zająć i niech pan nie żatuje noży!

Jupp chwycił mnie za kołnierz, a pan Erdmenges, z twarzą wykrzywioną uśmiechem, opuścił scenę szeroko rozstawiając nogi. Skądśis rzucono nam powróż i Jupp przywiał mnie do doryckiej kolumny, za którą znajdowały się niebieskie drzwi kulis. Byłem jakby oszołomiony własną obojętnością. Z prawej strony słyszałem nieprzyjemny,

gorączkowy szmer wśród zaciekawionej publiczności; wiedziałem, że Jupp miał rację, mówiąc o jej żądzy krwi. Pożądliwość drżała w słodkawym, mdłym powietrzu, a orkiestra swoim sentymentalnym werblem z cichą lubieżnością potęgowała wrażenie potwornej tragikomedii, w której miała popłynąć prądziwa krew, opłacona krew... Wpatrzony wprost przed siebie, bezwładnie osunąłem się w dół, tak że mocne więzy rzeczywistości mnie kępowały. Orkiestra grała coraz ciszej. Jupp umiejętnie wyciągał noże z kart i chował je w pokrowiec rzucając przy tym melodramatyczne spojrzenia. Kiedy wszystkie noże znalazły się na swoim miejscu, Jupp zwrócił się do publiczności. I jego głos był obrzydliwie lepki, kiedy mówił:

— Szanowni państwo, otoczę tego pana wieńcem noży, ale przedtem musicie się przekonać, że noże, którymi będę rzucał, nie są tepe...

Wyciągnął z kieszeni sznurek, z przerażającym spokojem zaczął wyjmować z pokrowca jeden nóż po drugim i dotykając nimi sznurka przeciął go na dwanaście części; noże chował kolejno do pokrowca.

Cały czas patrzyłem ponad Juppem daleko poza kulisy, poza przyglądające się półnagie dziewczęta, jak mi się zdawało, w inne życie...

Napięcie panujące na widowni elektryzowało atmosferę. Jupp podszedł do mnie

i niby to poprawiając moje więzy szepnął miękko:

— Stój bez ruchu, zupełnie bez ruchu, ufaj mi, mój drogi...

Ta nowa zwłoka niemal doprowadziła do załamania się napięcia, groziło mu rozplynięcie się w próżni, ale nagle Jupp uskokzył w bok, wyciągnął ręce z dłońmi drżącymi jak cicho wlatujące ptaki, a na jego twarzy odmalował się wyraz magicznego skupienia, który zdumiał mnie już wtedy na schodach. Zdawało mi się, że słyszę dziwnie przejmujący jęk, i zrozumiałem, że jest to sygnał ostrzegawczy dla mnie.

Wycofałem wzrok z niedosiężnej dali i spojrzałem na Juppą, który stał teraz naprzeciw mnie, tak że nasze oczy znajdowały się na jednej linii. Jupp podniósł rękę, sięgnął do pokrowca i znów zrozumiałem, że jest to znak dla mnie. Stałem bez ruchu, zupełnie bez ruchu i zamknąłem oczy.

Było to cudowne uczucie; trwało może dwie sekundy, a może dwadzieścia, nie wiem. Ilekroć słyszałem lekki świst noża i czułem krótki lekki powiew, gdy ostrze wbijało się obok mnie w drzwi kulis, zdawało mi się, że idę po wąskiej belce, przerzuconej ponad niezgłębioną przepaścią. Szedłem pewnie, a mimo to czułem powiew grożącego niebezpieczeństwa... bałem się, a jednocześnie byłem całkowicie pewny, że nie runę w dół;

nie liczyłem rzutów, a jednak otworzyłem oczy w chwili, gdy ostatni nóż utkwiał w drzwiach koło mojej prawej ręki...

Wstrząsnęła mną burza oklasków; otworzyłem szeroko oczy i spojrzałem na bladą twarz Juppa, który przypadł do mnie i gorączkowo wyswobadzał mnie z więzów. Potem pociągnął mnie na środek sceny przed samą rampę; uklonił się i ja się ukloniłem; pośród huraganu braw wskazywał na mnie, ja zaś na niego. Potem uśmiechnął się do mnie i ja odpowiedziałem mu uśmiechem. Ukloniliśmy się razem, uśmiechając się do publiczności.

W garderobie nie zamieniliśmy ani słowa. Jupp rzucił na krzesło podziurawione karty, zdjął mój płaszcz z gwoździa i pomógł mi się ubrać. Potem powiesił na gwoździu swój kostium cowboyski, wciągnął na siebie wiatrówkę, włożył czapkę.

Kiedy otwierałem drzwi, rzucił się ku nam lisy człowieczek wołając:

— Podnoszę gaź do czterdziestu marek! Wręczył Juppowi kilka banknotów. Wtedy zrozumiałem, że odtąd Jupp będzie moim szefem, uśmiechnąłem się do niego, a on również spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

Potem wziął mnie pod ramię i zaczęliśmy razem schodzić z wąskich, skąpo oświetlonych schodów, na których pachniało zjełczałą

szminką. Kiedy znaleźliśmy się w przedsiionku, Jupp powiedział z uśmiechem:

— Teraz kupimy papierosów i chleba... Ja jednak dopiero w godzinę później pojąłem, że teraz mam prawdziwy zawód, że muszę tylko stać bez ruchu, zupełnie bez ruchu, i marzyć przez chwilę. Dwanaście czy dwadzieścia sekund. Byłem człowiekiem, do którego rzucano nożami...